Rok IV.

Nr. 37. Nr. 37.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 12 września 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Od Redakcji.

Uprasza się o wczesne zamówienie przedpłaty na kwartał następny, gdyż stanowczo nie będziemy drukowali, dla oszczędności, exemplarzy nadliczbowych. Z bieżącego rocznika wyczerpane już są zupełnie numera 1, 2, 3, 4, 5, 6, 10, 11, 12, 21, 25 i 27, — których nie mogliśmy nowym prenumeratorom przesłać. Ponieważ powiastka z włoskiego „Niźnik winny" Salwatora Ferrari, jak i z hiszpańskiego „Król, rycerz, sędzia" przeciągną się w numera kwartału czwartego, przeto zgłaszającym się nowym prenumeratorom prześlemy numera 37, 38 i 39, — a tym co zaabonowali się na kwartał III, w ciągu onegoż również na żądanie prześlemy odbitkę powieści pani E. z Kurowskich Puffke „Tajemniczą szkatułkę" w miejsce brakującego numeru 27go.

O tchórzostwie towarzyskiém.

(Teorja i praktyka).

Każdy z nas oburza się na narzuconą nam przez obcych niewolę w jakiéj ślęczymy i tysiączne miotamy żale na przymus nam zadawany przez obcych. Zdawałoby się, że nie ma na świecie narodu fanatyczniéj kochającego wolność. I kochamy ją w teorji — więcéj niż własne mienie, niż nasze życie. Szkoda tylko, że w praktyce zupełnie inaczéj sobie postępujemy. Nie ma w Europie narodu, w którymby uprzedzenia, względy i przyzwyczajenia towarzyskie jakąkolwiek niezależniejszą indywidualność w naszém społeczeństwie więcéj gnębiły, niż u nas. Niech tylko sobie kto pozwoli mieć inne pojęcie o czémkolwiekbądź niżeli takie, jakie towarzystwa nasze mają, — to go natychmiast wykluczą ze swego łona jako niesfornego, dziwaka, mąciwodę, warjata i t. d., z którym żyć nie można. Dla tego to drżą z obawy nawet tacy, którzy mają wręcz przeciwne pojęcia w rodzinném kole, gdy im przypadnie je objawić w szerszém towarzystwie. Na zjazdach naszych n. p. akcjonarjuszów klnie niejeden w niebogłosy całą Radę nadzorczą i Dyrekcję; ma przeświadczenie i dowody najoczywistsze niejednéj niesprawiedliwości, niejednego uchybienia, — ale nie wyda się z tém za nic w świecie w zgromadzeniu, i owszém, w obec samego prezesa, czy dyrektora, czy innéj jakiéj wpływowéj osoby zaprze się nawet własnego sądu i przekonania, byle sobie nie zrazić ogółu, a raczéj osoby dominującéj. Wyszedłszy, w obec znajomych mniéj wpływowych lub w rodzinném kółku znów objawia swe przekonania — przeciwne tym, jakie panowały na walném zebraniu.

Iluż moglibyśmy wymienić którzy wieszają psy na żydów, gdy żyda nie ma obok nich, — a kłaniają się i ściskają swego faktora lub kupca zboża czy wełny, gdy taki żyd w téj chwili się pojawi.

Iluż nawet we wielki piątek z niesmakiem zaledwo

przekrztusi byfsztyk w hotelu w towarzystwie, wbrew swemu przekonaniu, a klnie potém w rodzinie na bezbożność i zepsucie po miastach.

Iluż przyzwyczajonych do hołdowania jakiéjś potędze towarzyskiéj i mającéj wiarę w jéj wartość, wyprze jéj się w obec innéj powagi, któréj osobiście nawet nie ceni.

Za granicą, osobiście mówiąc, bylibyśmy się na śmierć nieraz strzelali z tymi, którzy ośmielili się w obec nas twierdzić: iż nie ma fałszywszych ludzi na świecie nad Polaków!... I Moskale i Niemcy i Węgrzy i Czesi przebywający z nami w kraju, mianowicie urzędowo, mają o nas takie zdanie i przekonanie, bo nie pojmują naszego tchórzostwa cywilnego i biorą je za fałszywość, któréj właściwie nie mamy wcale, która nie leży w naszym narodowym charakterze.

Fałszywością bowiem nazywa się niemoralne usposobienie umysłu lub charakteru, które nas powoduje do mowy lub czynów, — w ogóle do objawiania się zewnętrznie zupełnie inaczéj, niżeli to wewnętrznie czujemy lub myślimy, — a to głównie dla tego, ażeby tym sposobem kogoś podejść i podsłuchać lub wybadać w celu szkodzenia mu na późniéj przy danéj sposobności. Uczucie to objawia się już w dzieciństwie w skutek złego przykładu, w skutek niesprawiedliwości wyrządzanéj przez silniejszych lub starszych, w skutek ograniczenia zbytniego wolności osobistéj lub w skutek dzikich nieludzkich gwałtów powtarzanych. Jest to jedna z najniegodziwszych niecnót, najniebezpieczniejsza dla towarzyskiego życia i w ogóle dla społeczeństwa. Obłudą nazywa się przybieranie pozorów uczciwości, religijności, patrjotyzmu, współczucia, moralności i t. p. szlachetnych uczuć, — gdy tymczasem w naszém wnętrzu zupełnie przeciwne, podłe wichrzą uczucia, a to w celu uzyskania znaczenia, czci, bogactw, zemsty itp. Obłuda polega na trwałém kłamstwie w obec Boga i ludzi, a jéj odcieniami są pochlebstwo, łaszenie się, świętoszkowatość. Trzeba znać gruntownie nasz naród, ażeby tchórzostwo nasze towarzyskie pojąć i umieć je odróżnić od udawania, od obłudy i świętoszkowatości, — a mianowicie od fałszywości. Tego obci nie pojmując, mają nas za fałszywych ludzi i dla tego serdecznie nienawidzą nas, — jak Słowian w ogóle. A to tchórzostwo towarzyskie wypływa właściwie z bardzo szlachetnego lecz źle pojętego przymiotu, t j. z delikatności uczuć, z obawy ażeby komuś się nie narazić i nie wyrządzić mu przykrości.

W skutek tego tchórzostwa towarzyskiego potępiamy każdy objaw odwagi cywilnéj czyli towarzyskiéj jako coś zdrożnego, niezwykłego, bo obcego nam; jako zuchwałość lub niesforność i t. d.

To tchórzostwo właśnie czyni nas niewolnikami i obcych i swojskich naszych wrogów i nieprzyjaciołmi wszystkich zdążających do wolności osobistéj. Tego tchórzostwa padamy mianowicie ofiarą ile razy wchodzimy ze znającymi nas dobrze w interesa pieniężne. Tu leży sekret powodzenia oszustów obcych czy swojskich, — że nas tak „doją“, — i dla tego nas mają „za głupców“, „niedołęgów.“

Z tego błędu wyzwolić się tylko zdołamy przez szanowanie zdań i sądów niepodległych, chociażby i najsprzeczniejszych z własnemi naszemi pojęciami, — szukając sumiennie prawdy, choćby i w najmniéj powabnych formach

Podstawą wolności jest prawda, t. j. to wrażenie, jakie w nas powstaje o czémś, czego porównujemy pomiędzy sobą objawy jakiekolwiekbądź, badając je sumiennie własnym rozumem, własną wiedzą, dla własnego doświadczenia. Kto nie szuka prawdy, — nie szuka wolności.

Ztąd ten rozbrat u nas pomiędzy teorją a praktyką; ta nieumiejętność działania stósownie do tego co czujemy i co myślemy. To tchórzostwo towarzyskie, dla którego nie odważamy się często nawet myśleć inaczéj, niż nam narzucono w towarzystwie, a że za myślą idzie czyn, więc i nie mamy odwagi tak czynić, jak czujemy i myślimy. Ztąd téż wypływa i to, że nasi pisarze chcąc się przypodobać publiczności, wolą kłam sobie zadać, — niż narazić się poczutą i pojętą, dobrze spamiętaną prawdą.

Dla tego i nasze bezwzględne wystąpienie, hołdujące prawdzie, zrazu musiało oburzyć do tchórzostwa towarzyskiego wdrożone już ogólnie umysły, — dla których to upadlające uczucie stało się — prawdą towarzyską.

Wyzwolić się z tego jarzma nie łatwo, choć recepta na tę chorobę naszą umysłową jest bardzo prosta t. j. tak mówić i tak działać w towarzystwach, jak się w rodzinnem przyjacielskiém kole czuje i myśli, — nie pytając o żadne względy ludzi, którzy są bezsilni w obec prawdy, — lecz dbając o bezpośredni głos Boga, odzywającego się do nas — przez nasze sumienie.

„Tylko prawda nas zbawi!“

Wł. hr. **Chotomski**.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Dokończenie.)

XVII.

W progu — nikogo; wśród grządek lewkonji,
Pod starą lipą, na ławce — nikogo!
Po liściach drzewa piosnka jakaś dzwoni,
Zachodem słońca kwiat lilji się płoni;
Tak się płoniły lica méj dziewczyny,
Tę pieśń, przed pierwszą godziną złowrogą
Niosły ku niebu jéj usta bez winy.
W chacie — nikogo! Od progu klęcząca
Do wnętrza domu czołgałam się nizka.
Przy łożu matki — dzieciny kołyska;
Jeszcze pościółka biała i różowa
Zda się być ciepłą... Schyliłam się drząca...
Na téj pościeli spoczęła ma głowa
Przez chwilę! Daléj — męża mego łóżko;
Sięgnęłam — książka była pod poduszką
Podarta, stara; na niéj w wieczór, zrana
Modlił się klęcząc — i w tém miejscu składał.
Pod oknem — stolik! tam syn mój usiadał
Nad papierami; daléj — biała ściana,
Tam strzelba męża, czekająca pana.
Pod drugiém oknem córki kołowrotek
Z zaczętą nicią; przy nim biały kotek,
Zabawka dziecka. Na odwrotnéj ścianie,
Mojego syna wisi malowanie;
Tam — u nóg matki syn ukląkł w pokorze

I przed podróżą składa pożegnanie;
A ona dłoń swą złożyła na głowie
Drogiego dziecka. Ach! nikt nie wypowie
Wyrazu twarzy téj matki! O! Boże!
O! Boże wielki! A daléj — alkowa,
Tam łóżko białą zasłane pościelą,
Kwiatki w doniczkach i klatka w okienku;
Tam jasne szyby i biała posowa,
Tam wszystko — nawet ściany się weselą
Jakąś dźwięczącą w powietrzu — piosenką.
Kilka książeczek na pólce złożono,
U drzwi się chyli szklanna kropielnica,
Tu krasna wstążka, tam szare wrzeciono,
Nad łóżk'em — Matki częstochowskiéj lica.
O! matko! matko!.. Zdjęłam moją świętą,
Zgasiłam lampę, co pod nią świeciła
Przez lat — ach! tyle — że trudna rachuba —
I daléj wiodłam pielgrzymkę zaczętą
Po pustym domu. Nie długą już była.
W głębi alkowy, w tylnéj części chaty
Praojce moi wybili przed laty
Małe schowanko, ukryte jak zguba.
Tam był zbiór drogich dla domu pamiątek,
A ztąd dla wszystkich ulubiony kątek.
Tam się mieściły: skarb domu i chluba,
Stare wspomnienia, relikwie zebrane;
Cokolwiek bowiem ktoś z członków rodziny
Zdobył ofiarą lub dobremi czyny,
Każdą rzecz, która pociechę mu niosła,
Zbierał jak złoto i krył w ową ścianę;
Ztąd wartość skarbu powoli urosła.

Sięgnęłam ręką i między tym zbiorem
Szukałam czegoś; a potém otworem
Skarb zostawiwszy, nie zamknąwszy domu,
Wyszłam.. Słuchaj — oto ci przynoszę
Grosz srebrny, droższy mi nad wszystkie grosze;
Weź go i schowaj — a nie mów nikomu.
Jest to pieniążek drogą ręką matki
Wpleciony kiedyś w mój wieniec zielony;
On tobie szczęście przyniesie do chatki;
A za to — słuchaj — zabij ty we dzwony
Dla mych umarłych i odmów pacierze.
A tu jest obraz; włość cała w żałobie;
Może niejedno serce w walce pada;
On od upadku to serce ustrzeże!
Weź go i zawieś na chacie sąsiada —
Gdziekolwiek — choćby na umarłych grobie!

Dzierżąc te skarby wyłącznie w rodzinie
Szczęścia cudowne pasmo wyjątkowe
Wciąż nam się snuło... niech na każdą głowę
Spływa tak samo w całéj méj krainie..
Mnie już na świecie niczego nie trzeba,
Przeżyłam wszystko — co można na ziemi!...
Boleść mnie brata serdecznie z bliźniemi,
A szczęście — dało — tęsknotę do nieba!...

Niechaj te skarby z wiarą kto chce bierze,
Bo ja dziś w inne — jeszcze świętsze wierzę.

Niźnik winny.

Powiastka włoska tłomaczona ze Salwatora Farina.

I.

Dwudziestodwuletni Donato jest ślicznym brunetem; rąbie się wyśmienicie i strzela z pistoletu tak samo, konno jeździ po mistrzowsku i jak strzała umie pędzić po ulicach Medjolanu na welocypedzie, a gdy tego potrzeba, umie pieszo przebiegać znaczne oddalenia bez wywichnięcia nogi, co dowodzi ostatecznie, że dzielnym jest kawalerzystą. Donato pozostał, mimo swych dwudziestu dwu lat, we wirze zdradliwym wielkiego miasta, gdzie dosyć długo przemieszkiwał, najczulszym bratem i najwzorowszym synem; uwielbia siwy włos swego ojca i nie pojmuje nic cudniejszego nad urok twarzyczki jasnowłoséj swéj siostry. Dla tego w parny wieczór lipcowy staruszek Norbert i Marynia — jego ojciec i siostra — pozwalają porywać sobie podmuchowi wietrzyka głębokie swe westchnienia, nie wiedząc nic o tym rabunku: bo Donato jeszcze raz ma opuścić ojcowski dworek we wioseczce Romano w Brianza, ażeby powrócić do surowych nauk w szkole aplikacyjnéj i do niewinnych rozkoszy klubu welocypedistów w Medjolanie.

Nie samo to atoli zaniepokaja owe dwie uczciwe dusze. Bacznemu oku ich czułości nie uszło bynajmniéj, że Donato podczas owych trzech dni spędzonych na wsi, był jakoś niezwykle niespokojnym. Miewał on jeszcze uśmiechy, lecz krótkie i przemijające, takie co to ukażą się na brzeżku ust i w téjże chwili znikają nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Czasami jednakżeż trysnął żarcikiem, lica mu się żywo zarumieniły, zaiskrzył mu się wzrok, lecz natychmiast zamilkał jego dowcip, twarz mu się sępiła i ukrywał się w swym pokoiku albo wybiegał w pola; a gdy się czuł osamotnionym, siadał i godzinami dumał nieruchomy, wpatrując się bezprzytomnie w ziemię. Tak Marynia jak i tatulo podpatrywali go, jedno bez wiedzy drugiego; z jakie dwadzieścia razy schodzili się, każde z przeciwnéj strony, przypadkowo — w miejscu, gdzie dumał Donato; wtedy tatulo stawał w zachwycie przypatrując się jakiemu drzewku, a Marynia natychmiast się zchylała, ażeby uszczknąć jaki tam pierwszy lepszy kwiatek, bo wypadało jakoś dać czas młodzieńcowi dla ułożenia sobie muszkułów twarzy do nienagannego uśmiechu. Siostrzyczka, któréj więcéj przystawało wyszukiwać Donata, naturalnie i bez skrupułu, — ujrzała niedawno brata z głową między dłońmi — i niepostrzeżona stanąwszy przed nim, wpatrując się weń, wstrzymała oddech, uczuła boleścią wezbrane serce i ostatecznie nie mogąc ztłumić téj boleści — tak silném naraz wybuchła łkaniem, że zniewoliła nieprzytomnie siedzącego Donata do tego, że się ocknął i ujrzał zapłakaną siostry twarzyczkę. Zerwał się, ujęli się w ramiona, zmięszali łzy swoje, aż dziewczynka zwróciła ku niemu uroczą swą twarzyczkę, a wzrokiem rzuciła mu jasne, wyraziste pytanie.

Donato się zachmurzył, zchylił się ażeby wyprostować wiatrem pochyloną georginję i rozpoczął rozmowę, zwracając uwagę swéj siostrzyczki na przecudowne błękity łańcucha gór w oddali, silił się nawet na wynalezienie jakiegoś dowcipu, a znalazłszy go, czerpał zeń więcéj żarcików, niżeli to warto było, a z tych żarcików sam śmiał się serdeczniéj, niżeli to zwykle czynił, — i nawet pobudził do śmiechu dzieweczkę; lecz gdy już wyczerpał zupełnie ową siłę pozorową, która miała śmiech wywoływać, spojrzał znowu w oczy Maryni i wyczytał wyraźnie w nich to samo co i poprzednio niewysłowione zapytanie: „I czegóżeś płakał? Co ci to jest braciszku?“

„Jestem głupim! odrzekł na nie głośno. Samego siebie wstydzić mi się wypada. Płakałem, bom się zatrwożył examinami. Zarozumialec taki jak ja zasłużył na takie upokorzenie. Tobie mogę się z tém zwierzyć

Klub welocypedistów, konne jazdy i inne rozrywki odwiodły mnie od wykładów mechaniki i konstrukcji... złą wyciągnąłem kartę!...“

I jak gdyby mu stanęło obecném widmo jego zmartwienia, zatrzymał się i ani słówka więcéj nie dodał. I Marynia zamilkła, gdyż zdala spostrzegła nadchodzącego ojca. Byłaby najniezawodniéj braciszkowi odpowiedziała, że jego obawy są tylko czczemi strachami, boć już setkami składał examina, a żaden go nie przestraszał, że dla opuszczonych dziesięciu lub dwudziestu lekcji mechaniki student matematyki nie może przepaść w świecie i że wbrew takiemu chwilowemu zaniedbaniu się, można się wyrobić na inżyniera — i to znakomitego nawet.

Takich i wiele innych byłaby nagadała mu rzeczy, a raczéj niczby mu nie była powiedziała, gdyż spostrzegła się, że po raz pierwszy w swém życiu Donato, jéj najukochańszy, doskonały braciszek... skłamał — i przekonała się: że cała ta baśń o examinach była tylko niegodną tkanką zmyślań, wysnutą dla tego, żeby tylko w pole wyprowadzić dobrą wiarę swéj dobrodusznéj siostrzyczki.

Donato na widok ojca stał się znowu wesołym. Wierzchem ręki przesunął po powiekach, ażeby zetrzeć wszelkie ślady łez wylanych; silił się na wyrzucenie kilku iskier dobrego humoru i — ustał. Ażeby zaś nie stać się celem czułości ojcowskiéj i nie mogąc znieść wesołego, pełnego zmarszczek i dobroci oblicza ojcowskiego, okręcił się na piętach niby drzwi na zawiasie i oddalił się z pochyloną głową, schylając od czasu do czasu swą postać, ażeby zerwać jakie kwiecie, które bynajmniéj go nie zajmowało, lub ażeby podnieść kamyczek i dla roztargnienia się puścić go furcząco po bitym gościńcu.

I oto dla tego stary ojciec i Marynia, gdy pozostali sami ze sobą, błądzili wzrokiem po szczytach Alp, złociście różowemi promieńmi muskanych zachodzącém słońcem, lub po dolinie Lambro, zabarwionéj ciemną, pełną siły zielenią. W téj chwili posępnéj czuli jakąś strachliwą obawę, — jakieś złowrogie mieli przeczucie.

— Piękny wieczór! rzekł Norbert.

— Piękny! odrzekła Marynia.

I ojciec sądził, że najniezawodniéj Donato dzieweczce zwierzył się ze swém zmartwieniem, a córeczka myślała sobie, że najniechybniéj ojciec wie dokładnie jakie życie pędzi Donato w Medjolanie i o tém, co mu się przydarzyć mogło.

Milczeli.

I milcząc wracali, pragnąc gorąco rozmowy, do cichego swego dworku.

Promienie słońca ślizgają się po najszczytniejszych skałach Resegonu i giną w azurowéj przestrzeni. W około cienie potęgują się coraz silniéj, sąsiednie wieże kościołów z dala odzywają się dzwonów głosem do siebie, — a nietoperze migają błoniastemi swemi skrzydłami, pędząc niby czarne iskry po blednącém tle świetlanym wieczornego brzasku.

— Czy jutro odjedzie Donato? zapytała najpierwéj dziewczynka.

— Jutro...

— Biedny Donato! Jest w kłopocie co do examinów.

— Czy ci mówił o tém?

— Mówił.

— Mam od samych jego profesorów wiadomość, że nie potrzebuje się niczego obawiać, — mówili mi, że jest pilnym, że widoczne czyni postępy i że jest punktualnym w uczęszczaniu na odczyty.

— Czy nawet i na mechaniki?

— Zwłaszcza mechaniki profesor go wychwala.

Marynia tego była pewną i nie pytała o więcéj; ale ojciec radby się od dziewczęcia czegoś więcéj dowiedział... nie wprawiając ją bezpotrzebnie na filuterję, i nie wie jakby to zacząć.

— Nie zwierzył ci się w niczém Donato? zapytał ją ostatecznie, i przyciągając ku sobie córeczkę, podawszy jéj ramię, zatrzymał się z nią w pochodzie ku dworkowi.

— Nic innego.

Marynia, lubo od nikogo tego się nie uczyła, ma już rozum swych szesnastu lat, odgadła tedy, że Donato coś ważnego zatajał. Ale co?! W duszy powiedziała sobie: o tém i jam pomyślała! lecz gdyby się był zakochał, to mnie byłby się z tego najpierwszéj wyspowiadał.

W dwie godziny potém Marynia i stary Norbert życzyli sobie dobréj nocy pocałunkiem. Każde z nich przechodziło przede drzwiami na wpół otwartemi pokoiku Donata.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

I na srebrny głosik dzieweczki, i na drżący głos staruszka odpowiedział Donato wyjawieniem się ze swego pokoiku, pocałunkami lic swych ukochanych, — cofnął się, zatrzymał się na środku swego pokoiku, przysłuchiwał się szelestowi kroków swéj siostrzyczki i swego ojca, a gdy wszystko się uciszyło, oprócz chrapliwego chóru żab i świergotania owadów polnych, — oparł się na oknie i wzrokiem zagłębiał się w ciemność nocy.

II.

Ciemna noc! Ziemia i niebo zlewają się w jedność ponurą — a gdzieniegdzie ciężka chmura wędrująca samotnie po stropie jeszcze czarniéj się na nim odbija, — i tak samo drzewa morwowe i dęby olbrzymieją przybierając kształty fantastyczne, jakoś piekielne. Wietrzyk szeleści tajemniczo i kołysze w powietrzu zawieszonemi gniazdami ptasząt i owadów.

O czém rozmyśla Donato z rozpaloném czołem, schowaném między swe dłonie? Nie rozmyśla on — ale marzy, — marzy o przeszłości. Widzi siebie chłopczykiem sześcioletnim, trzepakiem, lubiącym grę w piłkę, hasającym za toczącą się obręczą, — powtarzającym z pamięci wiersze, deklamowane między kolanami pieszczącego go ojca; — wspina się na palce, ażeby dojrzeć kryjącą się swą siostrzyczkę po za ojca plecami; — nic nie wiedząc czém jest świat, nie domyślając się nawet niebezpieczeństw po drodze żywota, do któréj się już przysposabia, nie zważając bynajmniéj na owe straszliwe ilości niewiadome w algebrze naszych światowych czynności.

Mimo to wabi go uroczo przyszłość, niecierpliwi się zawadami jakie go od ruszenia w pochód wstrzymują, — przed oczami ma swój ideał — rok dwudziesty drugi swego życia! O! ileż to czarów leży w tém wyrażeniu dla wszystkich niedorostków!...

Już podrósł, już jest w szkole, przy ulubionych naukach, przy śmiałych zadaniach; dowiedział się, że ojciec nie jest majętnym, że pracuje ażeby wyżyć, że mimo swego już podeszłego wieku wesoło ponosi trudy, byle mu tylko dał jak najlepsze wykształcenie, — a siostrze jego jak najznaczniejszy posag. Tak! i Donato powinien już pomyśleć o Maryni. Dziś już zna algebrę i tyle geometrji... O! Maryni musi dać duży posag!...

Nastał dzień bardzo rozkoszny. Donato dowiedział się: że jego rodzina nie jest wcale ubogą, jak dotąd o tém mawiano. Ma bowiem dworek, w którym się zagospodarzył siwowłosy Norbert, ojciec jego, i w nim pozostanie ze swoją Marynią, — a on, Donato, już się usamowolni, zamieszka w mieście — a na przyszłość?...

Przyobiecał swym najdroższym, a jeszcze więcéj sobie samemu: że całkiém poświęci się naukom. Towarzysze jego chodzą do kawiarni i w bałamutne miejsca, on stroni od nich, zaprzyjaźniając się z wiedzą mędrców

i uczonych. Podlega jednak pokusie. Nie zamglone oczy kokietnych kobietek, nie rubinowe perły z butelek wina, —.o nie, to go nie czaruje!... ale pędzić niby strzała na dwukolnym welocypedzie po szerokich a krętych ulicach Medjolanu, albo kierować rozhukanym rumakiem w najtęższym galopie po alejach otaczających miasto — o! to go szalenie kusi. Ostatecznie mając lat dwadzieścia, może się ma i słuszność twierdzić, że mechanika nie wystarcza, że same xiążki — to za mało!

Lecz i nauki mądréj oszczędności ojca nie były dla niego stracone. Oszczędzając na cygarach, które w rzeczy samėj tyle mają wątpliwéj woni — że powiedzieć można, iż zapowietrzają nasze mieszkania, a kosztują bardzo wiele, to już raczéj wydać to na welocyped i na karo-gniadoszów. To pewném, że możnaby odłożyć te pieniądze i na posag dla Maryni, lecz ostatecznie, w dwudziestym roku życia, — sami powiedzcież — czy może zadowolnić sama mechanika? A zresztą, toć on dopiero studentem! ale gdy zostanie inżynierem!...

I ach! te kopalnie pełne skarbów, wydobywanych przez nasze życzenia, — te cudowne zamki młodzieńcze, którym nie zbywa na siwym kasztelanie, ani na uroczéj blondynce*) — kasztelance!... Szkoda, że niebawem szatan rozdmuchuje te święte widziadła! Zamki się zapadają, a kasztelani stają się coraz to uboższymi. Jedna chwila niweczy tyle serdecznych marzeń! Jedna godzina zapomnienia przemogła zapały uczuciowe, ożywiające przez lat dwadzieścia i dwa... bo trudno już to zataić! Rozpoczyna się jego ruina — z jego własnéj winy. Przed nim się zjawił stół zielony; na tym kupy złota sprawiające zawroty głowy tym co patrzą na nie. Pierwsza wstawka pełna szczęścia, — ostatnia pełna rozpaczy, między niemi chmary uczuć najpodlejszych, po wszystkiém tysiące zbrodniczych myśli w głowie, — gromy zemsty dla zwycięzcy, — złość przeciw samemu sobie, przeciw losowi, przeciw Bogu... jeszcze jedna stawka już z cudzych pieniędzy — a ostatecznie pogarda dla samego siebie i z szyderstwem wzgarda od obcych!

Przegrałeś!... Jeszcze przegrałeś — i wiecznie przegrałeś!...

Donato podniósł głowę z dłoni i zgłębia wzrokiem ciemności, czasem przeżynane przez parabole iskrowe świetlików świętojańskich lub gwiazd spadających. Już nie słyszy szmeru wietrzyka, muskającego mu twarz i odlatującego od niego do najbliższych drzew morwowych, z tych na akacje płotów ogrodowych, aż do wiązów doliny. Tysiące obrazów snują mu się przed oczami, zrazu wydatne, a potém coraz to mglistsze — i nie wie: śni on, czy czuwa?...

Już dnieje — brzask ranny, ten rodziciel uczciwych zamiarów, podaje mu tylko jeden: powstań, biegnij ku pokojowi ojca, zapukaj z drżeniem do drzwi jego sypialni, wejdź, rzuć mu się w objęcia i zroś siwy włos jego łzami pokuty. Jestem niegodnym ciebie synem, ojcze! Wiedz, że grałem, że przegrałem, i prosiłem niebios ażebym skonał!...

W sercu ojca te ostatnie wyrazy zcierają całą grozę pierwszych. Poczciwy starzec odpowie pocałunkiem i nie znajdzie słowa dla wyrzutu. Chwilkę sobie zachowa do niemych westchnień, potém przyciśnie głowę syna do swych piersi i powie mu, wlewając w swe słowa tyle słodyczy, że aż do serca synowskiego dosięgnie, i to więcéj skutkuje, niż wszelkie wyrzuty:

— Ileż?

— Sześć tysięcy.

Chwila ciszy. Starzec milczy, syn chowa głowę w swe dłonie, z ruchem rozpaczy.

— Sześć tysięcy — powie Norbert — to wiele dla nas, co nie jesteśmy majętnymi; lecz nie płacz tak, łzy tu nic nie pomogą. Sprzedamy skrzydło naszego dworku i ogródek. Sąsiad mój prosił mnie o to. Wyświadczę mu przysługę. Marynia zaczeka z wyjściem za mąż lat kilka, aż zarobisz tyle, ażeby jéj na posag się zebrało, a jeżeli tego będzie potrzeba, to wrócę do miasta i postaram się o przywrócenie na posadę, któréj się zrzekłem. Jestem zdrów i czuję się na siłach...

Oh! Donato tych łagodnych słów nie zdołał wytrzymać, nie zdołał znieść pieszczot drżącéj jego dłoni, jego głosu pełnego wzruszenia i smutku szlachetnego tego starca, który uważa winę swego syna jako cios przykrego losu. Porywa się na nogi, ociera swe załzawione lica i ogląda się w około. Nie!... tak lepiéj... toć to tylko sném było. Sam jeden jest w swym pokoju, opiera się jedną ręką o parapet okna i wierci wzrokiem ciemność okoliczną. Czarne widziadła doliny kiwają głowami; żaby dokończają swój chrapliwy koncert, zamilkając chwilami, ażeby się przysłuchać innemu bratniemu chórowi, odzywającemu się z oddali.

Już tyle o tém myślał — tyle dni myśli o tém ciągle. Pocóż się jeszcze dłużéj dręczyć tym widokiem. Nie! on nigdy nie zdobędzie się na odwagę, ażeby ukochanego swego ojca biednemu sercu tyle zadać kłopotu; ażeby widzieć, jak w jednéj chwili zgaśnie cała swoboda w tyle mu drogiem ojca obliczu — w skutek jednego słowa... Nie! Raczéj umrzeć! Raczéj się zabić! I zagłębia wzrok w ciemności i rzuca się w nie z upragnieniem. Gdyby tylko już raz zanurzyć się w nieskończoność, którą ma przed sobą, i w niéj się zagubić, zniweczyć lub sprawić, żeby zapomniano o nim i o wszystkiém we wirze tych światów, które w przestrzeni szaleją! Chwilkę się zastanowił nad tą olbrzymią myślą i porównuje ją z malutenieczką przyczynką swéj nieskończonéj rozpaczy; lecz nie ma siły, ażeby się wyrwać ze swego obłędu. W tém obłąkaniu wszystko mu się wydaje porówno wielkiém: dla niego świetlik, owadzik, jest gwiazdą ziemi, — a gwiazda spadająca świetlikem. Wszelka wielkość jest nicością w obec wielkości jego własnéj rozpaczy. Lepiéj ginąć!...

Donato wychodzi ze swego pokoiku. Uchem bada korytarz. Nie słyszy żadnego ruchu. Wraca do stancji, chwyta za rewolwer, opatruje go, a potém opuszcza rękę i podsłuchuje jeszcze. Żaden głos go nie zatrzymuje. Trwoży się przed sobą samym, ucieka, zbiega ze schodów. Wydostaje się na otwarte pole z bronią w dłoni i puszcza się drożyną prowadzącą do lasku. Żaby zamilkły żeby go przepuścić, lecz za jego plecami rzucają mu swém grzechotaniem chrapliwe szyderstwo. A on ciągle ucieka wywijając zabójczą bronią. Nareszcie przystanął. Rzucił się na ziemię i ulgi znalazł nieco w nerwowém łkaniu.

Ptaszek tylko spłoszony przez niego wyfrunął, ażeby zmienić miejsce swego noclegu, i wszystko w około zamilkło, nawet głosy żab, świerszczów i piewików; potém na szczytach najwyższych gór pojawiają się żółtawe bledziuchne smugi — to zwiastuny zbliżającego się dnia.

Po nad głową Donata jaskółka mignęła niby strzała i świergoce budząc swe sąsiedztwa; druga już jéj odpowiada, potém jeszcze inna, aż i całe powietrze zapełnia się świegotaniem i lotami. Donato przypatruje się tym zwinnym i wesołym istotkom, przelatującym mu przed oczami. Z każdego krzaczka, z każdéj kępki puszczają

*) Bionda włoskie, blondyna jest u Włochów równoznacznėm z wyrazem: piękność kobieca; Włoszki są w ogóle brunetki i brzydkie, chude, wyjąwszy prowincje Romagne, okolice Rzymu, a mianowicie Caserty pod Neapolem; potém wyjątek stanowią Włochy północne, gdzie wiele tak zwanych we francuzkiém: piękności djablikowych (beautes du diable), co my nazywamy miluchnych, t. j. uroczych samą młodością swoją, który to urok ginie w zamężciu. Za to znów Włosi prawie bez wyjątku są bardzo przystojni, smukli, ze sutym czarnym zarostem.

(Przyp. tłom.)

się w powietrze setki swywolnych figurek. Na każdym drzew wierzchołku rozpoczyna się żwawa ptaszyn rozmowa i każda gałązka nieomal buja pod ciężarem osóbek téj skoczkowéj i szczebiotliwéj rzeszy, — a z oddali koguty przesyłają sobie z poblizkich mieszkań swe zuchwałe zwrotki.

Donato bezmyślnie śledzi okiem wszystkie te loty; przysługuje się temu świegotaniu i zapomina o sobie. Światło rozpędziło wszelkie postrach budzące widma nocy i wszędzie rozbudza życie. Zdaje się jakoby i góry podnosiły się z głębi płaszczyzn, a dęby, akacje i drzewka wszystkie i wszelkie roślinki stroją się w kropeleczki rosy, dla uroczystego powitania wschodzącego słońca. Światło coraz to staje się silniejszém, wnika coraz to głębiéj w kępy krzewów i w korony drzew, aż i słońce się okazuje na wierzchołkach gór oddalonych, pojawiając się na widnokręgu czterema snopami promieni, aż i wychyla swą majestatyczną tarcz, wnika w najskrytsze nawet kąciki i zniewala najsmutniejsze nawet stworzenia ażeby mu się odwzajemniły za przesłane im promienie, które wszystko co tylko żyje rozweselają, ogrzewają, oświetlają i orzeźwiają.

Donato rozgląda się w około. Za chwilę stanął w otwartém miejscu, przy którém tyle razy w innych okolicznościach uśmierzał swe pragnienie. W około niego wszystko kołuje się. Drzewa w tym wirze stanowią w okół niego pierścień. Przy jego stopach obok ścieżki jest mrowisko. Promień słońca zbudził już te pracowite stworzonka do ich wielkich codziennych czynów. Kret jakiś zabałamucił się po za swą norą dłużéj niż zwykle i kula się w poprzek ścieżki do swego labiryntu. Zdala słychać ryk bydła i głosy ludzi i skrzyp kół pługów i wozów przeciągających po głównym trakcie w pobliżu tego lasku.

W Donacie budzą te okoliczności, jak ongi w jego chłopięcych latach, urok życia, strach przed śmiercią, gdy każda myśl odnosiła się do przyszłości, a każde nowe wrażenie było uroczystém świętem.

Co teraz czyni ojciec? Co siostrzyczka? Śpią, a pełne swobody ich oblicza nie mięszają się jeszcze na wiadomość o nieszczęściu. I o jakiém nieszczęściu! Ogląda pistolet. Zabić się! Zabić w dwudziestym drugim roku życia swego, gdy się jeszcze nie zapoznało światu, gdy setki uczuć jeszcze nie wzruszyły serca, gdy się czuje wrzącą krew i muszkuły żelazne, i myśl krzepką i jeszcze więcéj silną wiarę w ludzi i przyszłość!

Jednakże zbywa mu na sile, ażeby się z tą swoją klęską wyspowiadać ojcu — i pozostać świadkiem niedoli w obec swoich i świata, wynikłéj z jego ręki. Zaiste, wiele tu samolubstwa w téj jego słabości, ale jest i wiele uczuć sprawiedliwości i pychy, która jest samolubnym nadmiarem szlachetnéj dumy. Niech wie ojciec, niech wie siostra, że Donato miał męzkie serce, że miał szczery żal pokutny, — i że zadał sobie sam — pokutę. Tak! Trzeba zginąć!... Odciąga kurek drżącą ręką, zwraca ku swéj głowie rewolwer. Błysł ogień. Huk strzału się rozległ. Za hukiem broni — krzyk niewieści rozdarł powietrze.

Donatowi puścił pistolet przedwcześnie. Trzyma go teraz w oddali, patrząc nań z przestrachem. W téj chwili zdawało mu się, że los się zajął wymiarem sprawiedliwości, przed któréj wykonaniem zadrżał. Czuł dreszcz przebiegający mu wskroś całego ciała — i oglądał się w około... I pytał się samego siebie: Więc żeś ty ztchórzył przed śmiercią? A gdybyś był dokonał swego zbrodniczego zamiaru, wszystko byłoby już stracone!... Pokochał znowu życie. Ucieka zmięszany sam nie wie gdzie — w gęstwinę lasku, z pistoletem w dłoni, z włosem rozczochranym.

Panie Donato! Panie Donato! ściga go głos jakiś kobiecy. (Ciąg dalszy nastąpi).

Król, sędzia, rycerz.

Dramat w 3 aktach Augustyna Moreta.

Przetłomaczył
Karól Pieńkowski

Mało jest znaną u nas literatura dramatyczna hiszpańska. Z przekładów zaledwie kilka wymienić możemy: Kamińskiego, Balińskiego i Budzińskiego Stanisława. — i to przeważnie Calderona. — Na polu krytycznem najwięcéj zasług położył p. I. Zamostowski (pseudonim), szerokim wykładem dziejów i znaczenia hiszpańskiego dramatu w artykułach drukowanych w r. 1858—61 w Gazecie Warszawskiéj. Obojętność ta na prace sceniczne nie tyczy się jednego narodu lub autora, ale niestety! jest ogólną. Na dowód niechaj stanie doskonały przekład Szekspira przez ś. p. Paszkowskiego dokonany, który, mimo niezaprzeczonych zalet, do dzisiaj jeszcze nie doczekał się wydawcy, — to samo z Szyllerem, to samo z każdym poetą. Dla mnie — obojętność ta jest rzeczą tak niepojętą, że ani znaleźć przyczyny, ani o nią zapytać nie śmiem.

Zamiar zatém przetłomaczenia arcydzieł hiszpańskich, przez wzmiankowanego p. I. Z. i przezemnie podjęty, przypuszczamy, że nie dojdzie do skutku. Rozpocząwszy pracę, nie doświadczyliśmy zachęty, — ukończywszy pewną część jéj, próżno szukaliśmy nakładcy. Niechajże nie ginie to, co już zrobiono.

Rozpoczęliśmy nasz przekład od Augustyna Moreta.

Nie jest to pisarz oryginalny i do większéj części swoich utworów zapożyczał przedmioty od innych autorów, — a odznacza się jedynie mistrzowskiém skreśleniem charakterów i wielką znajomością sceny. Pomysł „Króla, sędziego, rycerza“ (El valiente justiciero) należy się Lopez de Vega, — „El Infantos de Illescas.“ — Porównanie wszakże obydwóch dzieł wypada na korzyść Moreta.

Zwróćmy się do części historycznéj dramatu.

Inaczéj dzieje, inaczéj pamięć ludu mówi o królu Piotrze, przezwanym Okrutnym. Lud w podaniach i pieśniach wspomina o nim jako o dobrym, surowym lecz sprawiedliwym królu, obrońcy uciśnionych, poskramiającym wybryki dumy magnackiéj. Takim widziemy go w dramacie. Król odznaczał się odwagą i wspaniałością rycerską, — i dla tego w zuchwałym D. Tello ocenia męztwo i darzy wolnością. — Strona cudowna dramatu napisanego w drugiéj połowie XVII stulecia (Moreto umarł w 1669 r. 28 października w Toledo), opartą jest na ludowém podaniu. Duch zabitego mnicha prześladował króla i wieszczył mu: że zginie z ręki brata, późniejszego następcy, Henryka hr. Transtamary. Henryk związał się z nienawistną królowi szlachtą, — co Moreto bardzo zręcznie wykazuje w dramacie w ostatnich scenach, kiedy Henryk broni Tella.

Autor podniósł jednę stronę ducha Don Pedro: sprawiedliwość, i dla tego nie stawia w grze spisku braterskiego.

Słówko o Morecie.

Don Augustyn Moreto był synem Augustyna i Violetty Cavanna's, obywateli madryckich. W r. 1657 był opiekunem szpitala w Madrycie. Współczesna kronika kardynała Don Baltazara Moscoso wspomina o nim jako o człowieku niepospolitych zdolności, nauki i dowcipu; ku końcowi żywota przestał pisać dla teatru a tylko układał hymny czci bożéj poświęcone i oddał się rozmyślaniom pobożnym.

W testamencie prosił swego brata, aby go pochowano na polu bezczestném, gdzie grzebano straconych i samobójców. Życie i wzmianki w niektórych pismach autora naprowadzają na myśl, że w młodości swéj, dla dogodzenia zemście, popełnił jakąś zbrodnię, za którą pokutował późniéj.

W zakończeniu ośmielam się przestrzedz tych czytelników, którym dramat wydać się może zbyt monarchijnym, że rzecz dzieje się w połowie XIV wieku, a napisano go w XVII.

Paryż, dnia 23 stycznia 1866 r.

K. P.

OSOBY:

Don Pedro — król Kastylji.
Henryk hr. Transtamary — brat króla.
Mendoza — dworzanin Henryka.
Don Tello.
Don Rodrigo.
Don Gutierez — dworzanin królewski.
Peregil — służący D. Tella.
Donia Leonora.
Dona Marja.
Inez — służąca D. Leonory.
Żołnierz.
Celnik.
Duch.
Muzycy, świta królewska i t. d.

(Rzecz dzieje się około 1350 r. w Alkalli i Madrycie).

AKT PIERWSZY.

Scena I.

(Willa Don Tella).

Don Tello, Donia Leonora i Peregil.

D. Leonora.

Chciéj wysłuchać mnie don Tello.

D. Tello.

To kobieta uprzykrzona!

Peregil.

Młyny nie tak prędko mielą
Jako prędko mówi ona.
Dała ci się już we znaki.

D. Leonora.

O, don Teilo, czyż grandowskie
Na to tylko są oznaki —
By postępki wieść łotrowskie?
Obowiązek ma grand równie
Spełnić święcie dane słowo.
Tobie tytuł służy głównie
Aby niższych gnieść surowo! —
Gdy przed tobą się Alkala
Jak poddanka kornie kłoni,
(Na co duma twa pozwala
Choć korony brak na skroni).
Czyż ty myślisz do wielkości
Przez występki dojść i zbrodnie?
Wiesz — łagodność ta wzniosłości
Służyć może tylko godnie...
Grzeczność w panu każdy ceni
Grzeczność na nic nie naraża —
Wiele zdziała, wiele zmieni...

Peregil.

Czyli: wiedź mnie do ołtarza.

Leonora (do Peregila).

Cicho!...

(do Tella).

Myślisz, że mnie ślepi
Ród twój pyszny, twe zaszczyty?
Nie... don Garcia nie jest lepiéj
Urodzony od Guevara.
Mnie o cześć idzie kobiety!...
Jam obłudy twéj ofiara, —
Tyś przysięgę złożył męża —
To poprowadź do kościoła.
Jeśli nic cię nie zwycięża,
Do grzeczności zmusić zdoła
Wzgląd, że mówi twoja żona!...
Czy rozumiesz?

D. Tello.

Kto poradzi: jak jéj z głowy
Małżeńskiego wybić ćwieka? —

Peregil.

Rzecz prowadzisz do połowy —
Zawsze traci ten co zwleka.
Skończ raz śmiało to błazeństwo
Gdyś do cnoty zbyt leniwy
To szczerości daj pierwszeństwo.
Wrzeszczy: żeń się! Cóż za dziwy
Gdy ją wiedziesz jako drużba —
Na rywalki jéj wesele!

D. Tello.

Bah... wygodna bardzo służba
Wszak już wszystko jest gotowe
W moim domu?

Peregil.

Figle nowe
Dla Rodriga nieco słone —
W jasny dzień przyjacielowi...

D. Tello.

Skradniem piękną narzeczoną
Donę Marją... Któż mi powie
Za to, choćby jedno słowo?
Kto mi tamą stanie w drodze?
Jakie prawo się nasroży?...
Wprawdzie księciem się nie rodzę
Lecz od króla téż nie gorzéj!...

D. Leonora.

Mamże stać bez odpowiedzi?

D. Tello.

Pergil — rzeknij téj kobiecie
Że mnie próżną prośbą biedzi.

Peregil.

Mówić grzecznie?

D. Tello.

Zrozumiale.

D. Leonora.

No — odpowiedź daj mi przecie
Czy się żenisz ze mną?

Peregil.

Wcale.

D. Leonora.

I dla czego?...

Peregil.

Tak pan każe.

D. Leonora.
Powód?...

Peregil.
Tak mu się podoba.
Rozkaz z wolą idzie w parze.

D. Leonora.
Czemu gardzi mną zuchwale?

Peregil.
Mego pana cna osoba
Nie każe się pytać wcale.

D. Leonora.
Lecz to zbrodnia niesłychana,
Hańba!...

Peregil.
Taki rozkaz pana.

D. Leonora.
Wstyd uciska serce srodze...
Nie przeniosę...

Peregil.
Pan pozwala
Rzucić ciężar ten po drodze.

D. Leonora.
Krzywdą sławę moją kala
Boli ciężka ta swywola,
I szyderstwo krwawe ze mnie.

Peregil.
To ostatnia jego wola.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O petroleum.

(Drugi list do p. Natalji z W. Jordan)

Szanowna Pani!

Gaz, ograniczony w skutek nieumiejętnéj jeszcze fabrykacji, stał się nowém oświetleniem miast wielkich i średnich od pół wieku dopiero. Do tego czasu oświetlano tamże ulice, pracownie i mieszkania jak i dziś po wsiach — łuczywem, świecami łojowemi lub lampkami bez szkła, prosty knot w oliwie lub oleju roślinnym albo i tłuszczu wieprzowym. Ta potęga świetlana gazu pobudziła do myśli o zpotęgowaniu tych sposobów oświetlania. Niebawem pojawiły się „studenckie lampy paryzkie.“ Potém nastał ruch we fabrykacji stearynowych świec. Potém znów lampy stawały się coraz to doskonalszemi we swych częściach. Argand wymyślił knot cylindrowy i cylinder szklanny do lamp w tym samym czasie się pojawił. Benkler wykazał, że cylinder zagięty, wklęśnięty najwięcéj światła daje. Zjawiły się lampy astralne, ssące, naciskowe, nareszcie lampy z wywrotnym rząpikiem, hydrostatyczne, zegarowe Karcela (Carcel), moderatory najdoskonalsze z lamp olejowych. Podczas téj rewolucji w oświetleniu w 1830 r. wynaleziono świece parafinowe i wzrosło mnóstwo fabryk lamp i świec. Nową epokę dożyliśmy z rokiem 1859. Już w r. 1857 i 1858 odkryto sposób oczyszczania oleju skalnego przez wypędzanie zeń ciepłem owych najlotniejszych gazów i pierwszy transport amerykański przybył 1859 r. w znacznych dla handlu ilościach, — bo handel tém się różni od kramarstwa, że wymaga ogromnych ilości towaru. Rzeczywiście dopiero od r. 1861 i 1862, t. j. od odkrycia najpotężniejszego źródła nad brzegami rzeki olejowéj (Oil creek), wpadającéj do rzeki Alleghany (Venango County, Pensylwanja), nabiera oléj skalny handlowego znaczenia. Na północ od Pittsburga, w pobliżu miasta Titusville, gdzie od dawna już zwrócono uwagę na ów pływający po wodzie, niebezpieczny do palenia w lampach oléj, wywiercono studnię w celu poszukiwania téj kopaliny i trysło z pompy do tego celu użytéj z razu 1600, a przy doskonalszéj pompie 4000 litrów dziennie. Lecz po kilku miesiącach wyczerpał się ten skarb. Było już takich studzien około 2000 od 70 do 500 stóp głębokości. Zwrastał gorączkowy szał petrolejowy, jak przy kopaniu złota w Kalifornji. Przestrzeń ta wyglądała niby las bezlistny, naszpilkowana drągami, żórawiami, masztami, — istne piekło, okopcona cała przestrzeń ziemi, ludzie, budy, konie, naczynia, — smrodliwe petrolejowe wyziewy, zgrzyty żórawiów, kół wozowych i klątwy straszliwe ludzi, — jęk koni i smaganie biczów, — przy rozpaczy ludzi zrujnowanych na niepomyślném wierceniu kosztownych pracą i czasem studzien, obok ryków pijanéj radości tych, którym ów dziwny płyn nadawał wielkie stanowisko bogaczów w świecie materjalnym.

W pobliżu miasta Vittoria, na kawałku Nr. 18 drugiéj koncesji obwodu Enskillen, pracował odarty i wygłodzony John Shaw, wyrobnik. Wiercił on przez kilka miesięcy studnię i pompował o głodzie i chłodzie od świtu do zmroku i ciągle nadaremnie. W styczniu 1859 roku przybył zmęczony głodem i wysileniem boso do budy po parę trzewików na kredyt, których już kilka par zniszczył w téj saméj dziurze. Znany mu dobrze kramarz złajał go bez litości i wypchnął z kramu. John Shaw wrócił jak był do pracy z postanowieniem, że to już ostatnie 18 godzin, jakie tu pracuje. Wpół szalony cisnął całą siłą swój świder w rurę. Co to? Szum jakiś! Wzmaga się! Rurą kipi petroleum. Kipi i bucha. Pięć minut, dziesięć, kwadrans. Wycieka pędem, napełniwszy rzępie, do rzeki rzeczułką. Wszelkie usiłowania ażeby go zebrać i przy pomocy sąsiadów, nie podołał. Zdumiałego odrywają od pracy, winszują mu. Sam kramarz przybiegł nie z jedną, ale z kilkunastu parami trzewików i przeprasza go, przeklinając samego siebie. Długo, długo potém przekonano się, że w trzy minuty wypływa 640 kwart petroleum, gallon (4 litry) po $1\frac{1}{2}$ centa, co czyni dziennie po 950, a rocznie po 296,524 dollarów (361,240 talarów). Rano żebrak, po południu bogacz, nie cieszył się długo swym skarbem, bo po roku w téj saméj studni zadusił się gazem, w rurze i odurzony utopił się w petroleum.

Dziś tam są koleje żelazne i miasto potężne, mimo ogniów i klęsk przez pożary, a w r. 1871 wywieziono z tego miejsca 452,490 baryłek i 18,850 kist petroleju rafinowanego, a 56,961 surowego, czyli od 1860 roku 1,764,166 baryłek, 115,561 kist rafinowanego i 197,038 baryłek surowego petroleum.

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).